

Yan  
Lianke

# Czteroksiąg

przełożyła Katarzyna Sarek



Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy

Napisałem potem do jednego z przywódców list, w którym wymieniłem moje utwory, osiągnięcia artystyczne i oddanie krajowi, a na końcu wyraziłem nadzieję, że władze w Pekinie będą mogły zainterweniować i usunąć moje nazwisko z listy. Władze zadziałały błyskawicznie i szybko dostałem list z odpowiedzią: „Wasze osiągnięcia literackie są imponujące i dlatego jesteście idealnym kandydatem do pobytu w obozie reedukacji i napisania tam prawdziwie rewolucyjnego dzieła”.

W dniu mojego wyjazdu ze stolicy prowincji przyszli wszyscy koledzy, którzy na mnie zagłosowali, i powiedzieli, że spośród nich byłem jedynym, który dzięki swojej reputacji, osiągnięciom i sławie mógł się obronić, i że zaopiekują się moją rodziną i dziećmi.

## **2. Pradawne rzeczysko, s. 7-10**

Obóz 99 znajdował się na Równinach Centralnych zaledwie czterdzieści kilometrów na południe od Żółtej Rzeki – rzeki matki. Cały obszar pokrywały piaski naniesione przez rzekę nieustannie zmieniającą bieg. Z powodu permanentnych powodzi i jałowej ziemi chłopcy wynieśli się stamtąd dawno temu, pozostawiając za sobą chaszcze i nieskończone pustkowia z pojedynczymi osadami i nielicznymi mieszkańcami. Było to idealne miejsce na zsyłki i więzienia. Od czasu panowania dynastii Ming do wyzwolenia i niedługo po nim miejsce kwitło, w szczytowym okresie przebywało tam ponad trzydzieści pięć tysięcy więźniów, od skazanych na karę śmierci po tych z wyrokiem robót. Najważniejszym zadaniem skazańców było umacnianie wałów wzdłuż Żółtej Rzeki, wybieranie mułu ze starorzecza i zakopywanie pod

nim piasku leżącego na powierzchni, aby w ten sposób zmienić odłogi w żyzną glebę i odzyskać ziemię orną. Przemiany tysięcy *mu* nieużytków w tereny zdadne do uprawy dokonano za czasów cesarstwa, po ustanowieniu republiki obszar ten przestał być więzieniem i miejscem egzekucji, zamienił się w kolonię pracy. Skazani na kilka lat robót zajmowali się tam pracą fizyczną – uprawą zbóż i bawełny. Niedługo po ustanowieniu republiki ludowej miejsce to przestało służyć jako kolonia pracy i stało się Strefą Reedukacji.

W Strefie Reedukacji pozostawiono budynki i układ przestrzenny z dawnych więziennych czasów, na bezkresnym starorzeczu Żółtej Rzeki ustanowiono centralę i obozy. Centralę usytuowano w miasteczku, wokół którego rozciągały się strefy mieszkalne i pola zajmujące blisko dziesięć tysięcy *mu*. Nikt dokładnie nie wiedział, ile ziemi i ilu przestępców ulokowano w Strefie Reedukacji. Niektórzy mówili o osiemnastu tysiącach siedmiuset skazańców, inni o dwudziestu trzech tysiącach trzystu. W każdym razie profesorowie, uczeni, nauczyciele, pisarze oraz ludzie wykształceni stanowili dziewięćdziesiąt procent wśród około dwudziestu tysięcy skazanych. Pozostałe dziesięć procent – urzędnicy i kadry. W naszym Obozie 99 wśród stu dwudziestu siedmiu osób dziewięćdziesiąt pięć procent to byli intelektualiści.

Nasz obóz leżał najdalej od centrali i najbliższej rzeki. Dlatego władze nie bały się, że ktoś ucieknie. Gdyby uciekinier udał się na lewo, na prawo czy przed siebie, przez najbliższych dziesięć czy dwadzieścia *li*<sup>4</sup> nie spotkałby nikogo poza przestępcami z innego obozu, nawet dzikich zwierząt. I kiedy wyszedłby w końcu z nieużytków i chaszczu na orne pola, i pomyślałby,

że dotarł do zwykłej wsi i zwykłych ludzi, w rzeczywistości zobaczyłby uprawy kryminalistów z innej strefy. Tak samo jak ty w trakcie reedukacji. Według zasad obowiązujących w obozach ten, kto doniósł o planach ucieczki towarzysza, dostawał miesiąc pobytu w domu; ten kto złapał uciekiniera – trzy miesiące; a ten kto trzykrotnie złapał uciekiniera, w nagrodę wracał na stałe do domu, do rodzinnego miasta i do starej pracy. Każdy wypatrywał okazji na wydanie planów ucieczki współwięźnia, wyglądał szansy złapania uciekiniera. Oczywiście śmiałkowicie mogli także próbować uciekać na północ, przepływając Żółtą Rzekę i docierając do wiosek na jej drugim brzegu. Jednak na tym odcinku rzeka, po przepłynięciu przez prowincje Gansu i Shaanxi i dotarciu do centralnego Henanu, zawsze wylewała w porze deszczowej i niosła ze sobą takie masy błota i piasku, że nikt nawet nie próbował do niej wchodzić. Zimą zaś przy brzegach rzekę co prawda skuwał lód zdolny unieść ciężar człowieka, ale w środkowej jej części, szerokiej na kilkadziesiąt *zhang*<sup>5</sup>, lodowata woda płynęła zbyt szybko, aby zamrznąć. Żółta Rzeką stanowiła naturalną barierę Strefy Reedukacji, tak jak zaminowany pas graniczny oddzielający od siebie państwa. Więźniów w Obozie 99 trzymały w szachu rzeka i ludzie. Czasem zdarzali się uciekinierzy, ale zawsze ich chwymano i odsyłano z powrotem do obozu, gdzie poddawano im wyrok, a ci, którzy ich złapali, w nagrodę dostawali przepustkę. Niektórzy, zwiedzeni niższym poziomem wody późną jesienią i wczesną zimą, próbowali przedostać się przez rzekę wpław, ale tonęli, nie dopływając zbyt daleko, a ich ciała nurt wyrzucał na piaszczysty brzeg dwadzieścia *li* stamtąd. Raz jednemu więźniowi

powiodła się ucieczka, ale gdy dotarł do domu, żona i dzieci, może ze strachu, a może z obudzonej świadomości, przywozły go z powrotem do obozu. W rezultacie jemu zamieniono reedukację na więzienie, a żona ze zwykłej nauczycielki awansowała na dyrektorkę szkoły i z kierowniczką sekcji na kierowniczkę wydziału.

Od tamtej pory nikt już nie próbował uciec.

Poza tym tak naprawdę życie tutaj było o wiele lepsze niż w więzieniu. Jedliśmy do syta, dostawaliśmy ciepłe ubrania, powietrze było wilgotne i świeże, jak lipcowe brzoskwinie i gruszki, zerwane przed chwilą z drzewa. Co więcej, wielu ludzi spędzało czas głównie na wystawianiu się na słońce zimą i chłodzeniu się wiatrem w lecie, wykonywali jedynie sezonowe prace polne, a pozostały czas spędzali jak na urlopie. Na przykład ja – nie tylko mogę spacerować, oddychać świeżym powietrzem, gawędzić, grać w karty i spać, lecz także pisać powieść. Gdyby tylko wszyscy nie upierali się, że jedno *mu* nie może urodzić sześćset *jin* ziarna, praktycznie każdy z nas mógłby nadal czytać to, co by chciał. Myśleć o tym, o czym miałby ochotę.

Wszyscy jednak popełniliśmy przestępstwo – twierdziliśmy kłamliwie, że jedno *mu* ziemi nie może urodzić sześćset *jin* ziarna. Przez to nic nie było jak dawniej, ziarenko piasku zamieniło się w głąz, a lekki wietrzyk w gwałtowną burzę.

### **3. *Księga złoczyńców*, s. 9 (wybrane fragmenty)**

Spokojne popołudnie dwudziestego szóstego grudnia wypełniała otwarta tudzież ukryta walka klas pomiędzy

kapitalistami i proletariatem. Na pozór wszyscy reedukowali się przez pracę i podążali w wytyczonym kierunku, w rzeczywistości zaś, pod pozorem spokoju, burżuazja przeklinała proletariat i knuła. Odkryłem na przykład, że młoda i urodziwa Pianistka, wychodząc w pole, wsuwała do kieszeni *Damę kameliową*, wyjątkowo reakcyjną, kapitalistyczną powieść o prostytutce. Pianistka nie tylko nie oddała jej w czasie pozbywania się książek, ale śmiała zabierać ją do pracy i podczas przerwy z oczami pełnymi łez ukradkiem czytała ją w skupieniu. Wpatrywała się w okładkę z ilustracją mocno wymalowanej prostytutki Małgorzaty – przez kilkadziesiąt sekund nie mogła oderwać od niej wzroku! – to pokazuje, jak brudne i zepsute są jej myśli. Małgorzata, chcąc przyciągnąć uwagę mężczyzn, przypinała do piersi czerwoną kamelię i dlatego zawsze unosiła się wokół niej woń tych kwiatów, podobnie jak Pianistka, która zawsze pachnie kremem o zapachu podobnym do zapachu kamelii. Loki Małgorzaty spływały jak wodospad na jej ramiona, rozpuszczone włosy Pianistki codziennie opadają na jej barki jak wodospad. Co to może oznaczać?

Sugeruję, aby zwierzchnictwo zwróciło szczególną uwagę na kapitalistyczne zachowanie i niezdrowe tendencje występujące u Pianistki. Tysiącmilowe wały mogą pęknąć z powodu mrówczych gniazd. Nie możemy dopuścić, aby ten jej przesiąknięty kapitalizmem sentymentalizm wpływał na nasz obóz.

#### **4. Pradawne rzeczysko, s. 17–22**

Władze zażądały spisania *Księgi złoczyńców*, ponieważ chciały poznać wszystkie słowa oraz czyny moich

towarzyszy z Obozu 99, których nie mogły ani zobaczyć, ani usłyszeć, a w zamian za to miałem szybko zostać nowym człowiekiem i wrócić do domu. Zapisywałem więc wszystko, co zobaczyłem i usłyszałem, niektóre fragmenty zapisków odkładałem do szuflady, niektóre przekazywałem wyżej. Te ostatnie dotyczyły moich zasług i oddania wobec obozu, pozostawione zaś miały posłużyć jako materiał do powieści, którą miałem nadzieję napisać po przemianie w nowego człowieka. Nie wiedziałem, które były dla mnie ważniejsze, tak samo jak nie wiedziałem, co jest ważniejsze – życie autora czy jego dzieła. W każdym razie mogłem pisać. Mogłem stanąć naprzeciw tych wszystkich przestępców i zanim oni dostali cię szansy na zamoczenie piór w atramencie, ja, dzięki sławie, którą zdobyłem, wydając rewolucyjne powieści, mogłem pisać *Księgę złoczyńców* przygotowywaną do przekazania władzom. Mogłem również pod tym pretekstem zbierać materiały do innej, nowej powieści. Stałem się najbardziej zaufanym człowiekiem Dziecka, wierzył mi tak, jak wierzy się swoim oczom, uszom i palcom.

Rozpoczęły się siewy.

Nikt już nie wspominał, że to niemożliwe. Żaden wykształciuch nie otwierał swojej cuchnącej gęby i nie mówił kłamliwych, przesadzonych i nienaukowych bzdur. Wszyscy powtarzali:

– Nauka to gówno, jak w nią wdepniesz, to się upapraszsz, najlepiej ją zakopać w polu.

Ziemię podzielono między poszczególne brygady, na jedną osobę przypadło średnio siedem *mu*, każda brygada dostała ponad dwieście *mu* glin i piasków. Małe działki liczyły po kilka *mu*, duże – nawet kilkadziesiąt,

pomiędzy nimi znajdowały się stawy, wielkie kałuże, jeziora, nieużytki i wyschnięte, twarde stawy solne. Z pól wciśniętych pomiędzy błota a chaszczę nie widać było żywej duszy w promieniu dziesięciu czy dwudziestu *li*.

Aby szybko, w ciągu tygodnia, obsiać wszystkie pola, cztery brygady podzielono na grupy po siedmiu, ośmiu ludzi. Ci, którzy umieli obsługiwać siewnik, szli z tyłu, a reszta ciągnęła powrozy przywiązane do boków maszyny. Dawniej, kiedy z jednego *mu* uzyskiwano dwieście *jin* ziarna, na obsianie takiego arealu szło pół worka, mniej więcej czterdzieści kilogramów, ale teraz, planując sześćset *jin* zbiorów, na jedno *mu* przeznaczono sto pięćdziesiąt *jin* pszenicy, którą siano znacznie gęściej. O tej porze roku na nizinie skończyły się już upały, ale jeszcze nie zaczęły się jesienne chłody, jedynie znad Żółtej Rzeki wiał błotnisty, słony wiatr, który orzeźwiał twarze, ale nie osiągał ciał rozgrzanych i spoconych od ciągnięcia siewnika, ludzie wyglądali jakby nie wytarli się po myciu i od razu się ubrali.

Mojej brygadzie przydzielono pola znajdujące się kilka *li* na południe, po obejściu szerokich na trzy *li* stawów solnych dochodziło się do trójkątnej, odzyskanej z nieużytków, działki o powierzchni ponad pięćdziesięciu *mu*. Zaorana ziemia płonęła świeżą czerwienią na tle pobliskich szarobiałych słonych trzęsawisk. Wszyscy siali, ciągnęli sznury, krok za krokiem przemierzali pole od końca do końca, zawracali i znów szli, bez odpoczynku i bez przerwy, jakby wcale się nie przemieszczając, jak stado ptaków zamrożonych w locie na bezkresnym niebie. Pchałem z tyłu chwiejący się siewnik, chłopci powiedzieliby, że znam się na robocie. Taka praca nie była wcale trudniejsza od pisania – wystarczyło wbić się



czterema ostrzami głęboko na dwa *cun*<sup>6</sup> w glebę, następnie obrócić bęben siewnika o trzydzieści stopni, a potem, wykorzystując siłę ciągnących, potrząsnąć uchwytem, aby ziarna wpadły w otwory. Po przejściu siewnika obsiany był jeden zagonek. Nauczyłem się ruchów po dwóch przejściach, po czterech – szło mi doskonale. Patrzenie na ludzi ciągnących przede mną sznury przypominało oglądanie muła z klapkami na oczach ciągnącego koło młyńskie.

– Zmęczeni? – zapytał poganiacz osłów.

– Pewnie. Jeśli zasiane pięćdziesiąt *jin* ziarna daje dwieście *jin* plonów, to sto pięćdziesiąt może urodzić sześćset *jin* – odpowiedzieli.

– Jeśli chce wam się pić, idźcie na skraj pola po wodę – powiedział poganiacz osłów.

– Zabrano nam wszystkie książki, co wieczór gramy w karty.

– Dziecko to dobry człowiek, nie spalił ich.

– Podobno... Podobno kilka dni temu złapali w czasie ucieczki jakiegoś profesora z obozu – zdjęli mu spodnie i wsadzili je na głowę, a potem kazali mu chodzić po polu i liczyć gwiazdy, jakie widział przez nogawkę.

Przez czas, kiedy słońce świeciło na obsiewane pola, aż do chwili, kiedy chowało się na zachodzie, ludzie całkiem opadli z sił jak wymięty skrawek tkaniny czy źdźbło trawy po zimie, zatrzymywali się na chwilę odpoczynku, siadali na środku pola, zdejmowali buty i wysypywali z nich ziemię i rozgniecione na miazgę robaki, które wpadły do środka. Ciągący powrozy mieli pęcherze na ramionach, przekłuwali je cierniami, wyciskali krew i płyn surowiczy, okrzyki bólu „Ajaj! Ajaj!” dźwięczały żywo między niebem a ziemią.

Młody chłopak, który wyrwał się do pomocy Dziecku przy szukaniu książek, był technikiem z uniwersyteckiego laboratorium. Jego promotor, wyznaczony na reedukację, powiedział, że jest za stary, i poprosił studenta, żeby zgłosił się za niego. Chłopak ze łzami w oczach poszedł do dyrektora, który zapytał:

– Naprawdę jesteś zdecydowany zająć miejsce twojego promotora?

Student kiwnął głową i powiedział:

– Uczeń musi być posłuszny nauczycielowi, tak jak syn ojcu. Nie ma innego sposobu na spłacenie mojego długu.

Dlatego znalazł się w Obozie 99, gdzie przydzielono go do mojej brygady. W przerwach często chodził na siku za kępy kolczastych krzaków na miedzy, do których miał dość daleko. Tym razem gwałtownie się przed nimi zatrzymał.

Szybko ukrył się za krzakiem.

Potem niespodziewanie wyskoczył z zarośli i, dysząc, pędził przez pole jak uciekający jelen. Zaczął mnie ciągnąć z powrotem w kierunku krzaków, które rosły około ośmiuset metrów dalej.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Jest na co popatrzeć!

Jego twarz była czerwona niczym zachodzące słońce. Żeby szybciej biec, zdjął buty i trzymał je w rękach jak modele łódek, a kiedy się potknął i zgubił jeden, rzucił drugim i pędził dalej przed siebie jak trzewik przecinający powietrze.

Pracujący na polu rzucili się za nim jak za uciekającym złodziejem nie wiedząc, co się stało. Nagle Technik zatrzymał się, jakby nagle coś przyszło mu do głowy, wbił we mnie wzrok i zapytał:

– Za zgłoszenie przestępstwa należy się miesiąc przepustki?

Kiwnąłem głową:

– Ktoś uciekł?

– Coś poważniejszego od ucieczki – roześmiał się Technik.

Rozejrzał się i powiedział głośno do wszystkich:

– Ej, ja pierwszy to odkryłem i zgłoszę. Żeby mi się żaden nie podszywał.

Potem ręką pokazał wszystkim, że mają się uciszyć, i zaczął skradać się w stronę zarośli. W końcówce lata i na początku jesieni robinie i wiązy oplecione ciernistymi pędami wyrastały na brzegu rzeki jak kłęby dymu; pierwotnie czarne, ale z powodu blednących i opadających liści ciemna zieleń zrobiła się luźniejsza i jaśniejsza. W powietrzu unosiła się mocna woń roślin i przywiędły żółty zapach nadchodzącej jesieni. Wysokie na człowieka lub dwóch kolczaste krzaki wyglądały jak grupa blisko stojących obok siebie ludzi. Wszyscy szli za Technikiem, przyśpieszali, kiedy on przyśpieszał, zwalniali, kiedy on zwalniał, a gdy doszli do samych zarośli, Technik zatrzymał się i gestami pokazał, że wszyscy mają zdjąć buty. Zrobili to i z butami w ręku szli za nim na bosaka.

Podeszli bliżej.

Skradając się ze zgiętymi plecami jak koty, okrążyli kępę chaszczki wielką jak dom. Ale nie mogli niczego dostrzec poza pustą przestrzenią w środku z przygniecioną trawą i z jednym miejscem, na którym jak na łóżku pozostała odcisnięta sylwetka, a pomiędzy ciernistymi pędami unosił się dziwny zapach. Technik stał przed posłaniem, na twarzy malowało mu się głębokie rozczarowanie i olbrzymi żal. Kopnął ze złością badyle i zaklął: